

**Poul Anderson**

**Eutopia**

– Gif thit nafn!

Duńskie słowa buchnęły nagle z głośnika radia umieszczonego w samochodzie, zanim mógł je pochłonąć hałas śmigieł helikoptera, który zagłuszył odgłos motoru i opon.

– Kim jesteś? – powtórzył głos.

Jazon Philippou spojrział ku niebu poprzez przeźroczysty dach samochodu. Nad jego głową ciągnął się pas błękitu między dwoma poszarpanymi zielonymi ścianami świerkowego lasu rosnącego po obu stronach drogi. Promienie słońca odbijały się od ścian wojskowego helikoptera unoszącego się nad szosą.

Jazon poczuł, jak zimny pot gromadzi mu się pod pachami i ścieka wzdłuż żeber. Nie wolno mi wpaść w panikę, pomyślał odruchowo. Boże, dopomóż mi. Tym jednak, co przywoływał na pomoc, był własny wieloletni trening. Psychosomatyka: Opanuj symptomy, oddychaj równomiernie, każ zwolnić tętno, a usuniesz lęk przed śmiercią. Był młody, toteż miał wiele do stracenia. Ale filozofowie z Eutopii dobrze kształcili dzieci oddane ich opiece. Będziesz mężczyzną, a więc dojrzałym człowiekiem, mówili mu, istota człowieczeństwa zaś polega na niezależności od instynktów i odruchów. Jesteśmy wolni, ponieważ możemy zapanować nad sobą. I to jest nasz powód do dumy.

Nie mógł udać zwykłego obywatela Norlandii. (Nie, tu nazywano ich „mootmanomi”). Pomijając już wszystko inne, jego helleński akcent był zbyt wyraźny. Ale mógłby zwieść pilota helikoptera – choćby na kilka minut – udając, że jest przybyszem z jakiegoś innego kraju tego świata. Pogrubiał głos, by choć częściowo zamaskować swą wymowę i zapytał ze stosowną wyniosłością:

– A ty kto jesteś? I czego chcesz?

– Jestem Runolf Einarsson, kapitan armii Ottara Thorkelssona, Prawodawcy Norlandii. Ścigam kogoś, kto ściągnął wendetę na swą głowę. Podaj swe imię.

Runolf, pomyślał Jazon. Dobrze cię pamiętam. Smukły mężczyzna, którego ciemne włosy świadczyły o tym, że w jego żyłach płynie tyrkierska krew. Ale twoje błękitne oczy wskazują na to, że inni twoi przodkowie przybyli z Thule. Refleksja wewnętrznego obserwatora: Nie, mieszam różne znane mi historie. Ja bym nazwał autochtonów Erytrejczykami, a ty kraj swych europejskich przodków nazywasz Danarik.

– Zwą mnie Xipec. Jestem kupcem z Meyaco – odparł nie zwalnając. Dzięki szalonej całonocnej jeździe po ucieczce z zamku Prawodawcy już tylko niewiele stadiów dzieliło go od granicy. Nie miał wielkiej nadziei, że uda mu się dotrzeć aż tak daleko, ale każdy obrót kół przybliżał ratunek. Drzewa tylko migotały po obu stronach pędzącego wozu.

– Jeśli jest tak, jak mówisz, to muszę prosić się o wybaczenie, że cię zatrzymałem – głos Runolfa zatrzeszczał w odbiorniku. – Zwróć się do Prawodawcy, a możesz być pewien, że szybko otrzymasz odszkodowanie za naruszenie twych praw. Ale teraz zatrzymaj się i wysiądź z wozu, żebym mógł zobaczyć twoją twarz.

– Ale właściwie o co chodzi? – Jeszcze kilka sekund zwłoki.

– Mieliśmy w Ernvik pewnego gościa ze Starej Ziemi. (Z Europy – pomyślał automatycznie Jazon). Ottar Thorkelsson podejmował go niezwykle serdecznie, a ten nędznik dopuścił się postępuku, który tylko śmierć może zmasać. I zamiast przyjąć wyzwanie Ottara, skradł samochód – tej samej marki co twój – i uciekł.

– Czy nie wystarczyłoby nazwać go wobec całego ludu nicponiem? (A jednak czegoś się nauczyłem z ich barbarzyńskich obyczajów...)

– Dziwne słowa jak na Meyakańczyka! Natychmiast zatrzymaj się i wysiadaj, bo w przeciwnym razie otworzę ogień!

Jazon uzmysłowił sobie, że zaciska zęby aż do bólu. Na Hades! Któż byłby w stanie zapamiętać obyczaje panujące w setkach małych państweczek, na który podzielony był cały kontynent? Westfalia stanowiła jeszcze bardziej fantastyczną mozaikę niż cała Ziemia w tej jej historii, w której kontynent ten nazywano Ameryką. – Dobra – pomyślał – teraz będę miał okazję przekonać się, jakie mam szansę raz jeszcze powrócić do niej jako do Eutopii...

– Bardzo dobrze – powiedział. – Nie mam wyboru. Ale możesz być pewien, że zażądam rekompensaty za obrazę.

Hamował najwolniej, jak tylko mógł. Droga wiła się przed nim niby twarda czarna wstążka rozdzielająca ogromne włosy drzew. Nie miał pojęcia, czy kiedykolwiek je wycinano. Być może wtedy, kiedy biali ludzie po raz pierwszy przepłynęli przez Pentalimne (czyli Pięć Jezior, jak je nazwano w jego dziejach), by założyć miasto Ernvik, gdzie Duluth znajdowało się w Ameryce, a Lykopolis w Eutopii. W tamtych czasach Norlandia rozciągała się daleko poza krainę jezior. Ale później doszło do wojen z Dakotami i Madziarami, które zmniejszyły jej obszar. A rozwój handlu – w ostatnim okresie był to handel syntetykami – pozwolił mieszkańcom kraju wykorzystywać jego głębiej położone rejony jako tereny myśliwskie. (Polowania były ich prawdziwą, namiętnością). Po trzystu latach prastary las powrócił do swych praw.

Przed oczami stanął mu jak żywy obraz tych stron takich, jak przedstawiały się w jego historii. Gaje i ogrody, wioski, które zbudowano z myślą o ich urodzie, gibkie brązowe ciała w gimnazjonach, muzyka w świetle księżyca... Nawet straszna Ameryka wydawała się bardziej ludzka od tej puszczy.

Ale był to tylko obraz, obraz rzeczywistości zagubionej w wielorakich wymiarach czasoprzestrzeni. Tu był sam, a nad jego głową krążyła śmierć, i przestań litować się nad sobą, ty idioto! Oszczędzaj energię, jeśli chcesz przeżyć...

Wóz zahamował gwałtownie, tuż na skraju drogi. Jazon napiął mięśnie, otworzył drzwiczki i wyskoczył.

To, co usłyszał w głośniku radia za swymi piecami, musiało być przekleństwem. Helikopter zatoczył łuk i niby jastrząb rzucił się w dół. Kule posypały się jak grad.

Ale Jazon był już między drzewami. Ich gałęzie osłoniły go niby dach, przez który tu i ówdzie przebijały promienia słońca. Pnie drzew stały całe w swej męskiej krasie. Kobiety mogłyby pozazdrościć Im zapachu... Opadłe igły sosen pokrywające ziemię tłumily uderzenia jego stóp, skądś dobiegł go głos drozda, lekki wiatr chłodził mu policzki. Jazon rzucił się na ziemię, w cień najbliższej sosny i leżał dysząc ciężko, a gwałtowne bicie jego serca niemal zagłuszał złowieszczy ryk helikoptera.

Po chwili helikopter zniknął gdzieś w oddali. Runolf musiał wrócić do swego pana. Ottar wyruszy w pogoń końmi i weźmie ze sobą psy, bo tylko tak będzie mógł schwytać zbiega. Ale Jazon miał poro godzin wytchnienia.

A potem... przywołał na pomoc swój trening, usiadł i zaczął myśleć. Jeśli Sokrates, czując chłód cykuty podchodzący mu pod serce, potrafił mówić o mądrości do młodzieńców ateńskich, to Jazona Philippou stać w trudnej chwili przynajmniej na ocenę własnych szans. A poza tym widmo śmierci oddaliło się na pewien czas.

Nie uciekł z Ernviku tak, jak stał. Miał ze sobą pistolet miejscowej produkcji i kompas, pełna, kieszeń złotych i srebrnych monet, a na sobie płaszcz, który mógł służyć jako koc, oraz kurtkę, spodnie i buty, składające się na strój noszony w środkowej Westfalii. A wreszcie dysponował także najważniejszym narzędziem – sobą samym. Był mężczyzną wysokim i mocno zbudowanym – o jasnych włosach i niedużym nosie, który odziedziczył po swych gallickich przodkach – a za mistrzów miał ludzi, którzy zdobywali laury na niejednej olimpiadzie. Ale jeszcze większe znaczenie miał jego umysł i cały system nerwowy. Zasady logiki i semantyki, jakie wpoili weń pedagogzy z Eutopii, stały się dla jego umysłu czymś tak naturalnym, jak oddychanie dla jego ciała. Pamięć miał wyćwiconą tak, że nie potrzebował brać ze sobą mapy. Toteż mimo, że dopuścił się katastrofalnego błędu, wiedział, iż jego umysł i jego ciało poradzą sobie nawet z najbardziej egzotycznymi przejawami ducha ludzkiego.

A przede wszystkim – tak – miał powód, by żyć. Było to coś więcej niż ślepa pragnienie zachowania siebie samego. Było to coś, co pojawiało się już w pierwszej cząsteczce DNA, kiedy zapragnęła dać początek innym cząsteczkom. Miał kogoś, kogo kochał i do kogo chciał powrócić. Miał swój kraj, Etopię, Dobrą Ziemię, którą jego lud powołał do istnienia przed dwoma tysiącami lat na nowym kontynencie, zostawiając za sobą nienawiści i okropności Europy, zabierając zaś dzieła Arystotelesa i stanowiąc w końcu w swych syntagma, że: „Celem narodu jest osiągnięcie powszechnej harmonii”.

Jazon Philippou wracał do ojczyzny.

Wstał i ruszył na południe.

Było to w tetradę, dzień, który jego prześladowcy zwali onsdag. W jakiejś półtorej doby potem, o zachodzie słońca w dniu zwanym thorsdag, (ciągle jeszcze) przedzierał się przez las ślaniając się na nogach, z ustami pełnymi piasku i brzuchem przyrośniętym do krzyża. Szedł z drżącymi kolanami i opędzał się od rojów much, które przyciągał pot wysychający na jego skórze. Za sobą słyszał dalekie poszczekiwanie gończych psów.

Dźwięk rogu, niby długie metaliczne warknięcia, doleciał go poprzez arkady liści. Byli już na jego śladzie, a nie mógł przecież być szybszy od ścigających go jeźdźców. Nigdy już nie zobaczy gwiazd.

Jego ręka odruchowo sięgnęła po broń. Przynajmniej kilku z nich zabiorę ze sobą... Nie. Był przecież Hellenem, który nikogo nie zabijał bez powodu, nawet barbarzyńców, którzy chcieli pozbawić go życia tylko dlatego, że naruszył jedno z ich tabu. Stanę pod gołym niebem, wezmę w siebie ich kule i zstąpię w ciemność pamiętając o Eutopii, wszystkich moich przyjaciółach, a przede wszystkim o Niki, mojej miłości...

Niejasno uzmysłowił sobie, że wyszedł już z sosnowego lasu i kroczy właśnie przez brzozowy zagajnik. Światło złociło liście drzew i pieściło ich wysmukłe, białe pnie. Gdzieś z przodu doszedł go warkot motoru.

Stanął. Teraz dopiero poczuł, jak bliski jest kompletnego wycieńczenia. Na szczęście jednak jego organizm dysponował rezerwami, do których w pełni zintegrowany człowiek mógł jeszcze sięgnąć. Usunął ze świadomości dalekie poszczekiwanie psów, wszelki ból i wyczerpanie. Zaczął oddychać rytmicznie, koncentrując się na czystości i świeżości wciąganego do płuc powietrza i wyobrażając sobie atomy tlenu docierające do każdej komórki jego ciała. Uciszył gwałtowne bicie serca i nadał mu powolny, głęboki rytm; przez chwilę napinał i rozluźniał mięśnie, aż doprowadził je do normalnego funkcjonowania. Ból, który przenikał uprzednio całe ciało, ucichł, a rozpacz zżerająca duszę ustąpiła miejsca spokojowi i chłodnej rozwadze. Przed nim w kierunku południowym rozciągały się ziemie uprawne: fale wiatru przetaczały się przez młode zboże połyskujące złotawo w blasku zachodzącego słońca. Nieopodal widniała grupa zabudowań samotnej farmy; były to długie i niskie budynki o spiczastych dachach. Z kominów dym wznosił się ku niebu. Jednakże wzrok Jazona pobiegł najpierw ku mężczyźnie, który siedział na siodelku traktora pracującego w polu. Chociaż w tym świecie znano już dielektryczny motor, to jednak na północy nie wszedł on jeszcze w użycie; dlatego Jazon nie zdziwił się, kiedy poczuł ostrą woń spalin, i pomyśleć, że uważa ją za jedną z największych obrzydliwości, jakie spotkał w Ameryce! (Ten chlew, który oni nazywali Los Angeles!) Teraz woń ta wydała mu się czysta i mocna; była wysłanniczką nadziei.

Kierowca traktora ujrzał go, zatrzymał swój pojazd i sięgnął po przytroczoną z boku strzelbę. Jazon podszedł bliżej podnosząc ręce i ukazując puste dłonie, aby przekonać go

o swych pokojowych zamiarach. Kierowca wyraźnie przyjął to z ulgą. Był to typowy Węgier: tęgi i krzepki, o wystających kościach policzkowych, z trefioną brodą, w barwnie wyszywanym stroju. A więc już przeszedłem granicę! – pomyślał Jazon z radością. Uciekłem z Norlandii i oto jestem w województwie Dakoty!

Zanim go tu przystano, antropologowie z Instytutu Badań Parachronicznych oczywiście wpoili mu – na drodze elektrochemicznej – znajomość głównych języków Westfalii. Szkoda tylko, że nie przyłożyli się bardziej do nauczenia go tutejszych obyczajów...) Ale z drugiej strony zbyt szybko przenoszono go na tę placówkę po przypadkowej śmierci Megasthenesa. Przypuszczano również, że doświadczenie, jakie zdobył w Ameryce, dawało mu szczególne kwalifikacje do zajęcia się tą wersją historii, która także była wersją niealeksandryjską. I oczywiście, misje takie, jak ta, miały jedynie na celu poznanie, jak dalece społeczeństwa żyjące na różnych Ziemiach różniły się między sobą. Uralskoaltajskie słowa bez trudu spłynęły mu z warg:

– Bądź pozdrowiony! Przybywam tu jako błagalnik...

Farmer siedział spokojnie, ale napięcie nie schodziło z jego twarzy. Spoglądał w dół na Jazona i nasłuchiwał głosu psów dobiegających z oddali. Broń trzymał gotowa do strzału. – Jesteś człowiekiem wyjętym spod prawa? – zapytał.

– Nie w tym kraju, ispanie. (Jeszcze jedno określenie „obywatela”!) Jestem spokojnym kupcem ze Starej Ziemi przybyłym do Prawodawcy Ofirtara Thorkelssona, do Emvik. Ale – nie wiem, z jakich przyczyn – jego gniew spadł na mnie; i to gniew tak wielki, że Ottar złamał prawo świętej gościnności i sięgnął po moje życie, życie swojego gościa. Oto jego siepacze są na moim śladzie. Słyszysz głos ich psów.

– Norlandczycy? Przecież tu jest już Dakota!

Jazon skinął potakująco głową. Uśmiechnął się ukazując zęby, które błysnęły bielą z brudnej i nie ogolonej twarzy. – Słusznie. Wtargnęli na twoją ziemię nie zapytawszy o pozwolenie. Jeśli pozostaniesz bezczynny, dotrą aż tu i zabiją mnie – tego, który prosi cię o pomoc.

Farmer podniósł swą broń. – Skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę?

– Zabierz mnie do Wojewody – powiedział Jazon. – W ten sposób zachowasz zarówno prawo, jak i swój honor. – Bardzo ostrożnie wyjął pistolet z kabury i podał go farmerowi. – Będę na wieki twoim dłużnikiem.

Niewiara, lęk i gniew kolejno dawały się zauważyć na twarzy traktorzysty. Nie wziął podawanej mu broni. Jazon czekał. Jeśli dobrze wyczuwam to, co się w nim dzieje, to zdobyłem kilka godzin życia. Może nawet więcej. Ale to już będzie zależało od Wojewody. Moją jedyną szansą jest umiejętność wykorzystania ich barbarzyństwa – ich rozbicia na małe państewka, ich zwariowanego pojęcia honoru, ich fetysza własności i siebiepaństwa – po to, by zrobić z nimi, co zechcę.

A jeśli poniosę klęskę, to umrę jak człowiek cywilizowany. Tego mnie nie pozbawią.

– Psy cię już zwietrzyły. Będą tu, zanim zdążymy uciec – powiedział Węgier z niepokojem.

Ulga, którą Jazon poczuł, przyprawiła go o zawrót głowy. Pokonał go z największym wysiłkiem i powiedział: – Możemy im zrobić niespodziankę... Daj mi trochę benzyny.

– Acha! W ten sposób! Farmer zachichotał i zeskoczył z traktora. – Dobry pomysł, cudzoziemcze. A poza tym – to ja ci dziękuję. Ostatnio było tu już zbyt nudno.

Na traktorze miał zapasową bańkę z benzyną. Na sporym odcinku drogi cofnęli się śladem Jazona, obficie polewając ziemię i drzewa w lesie. Jeśli to nie powstrzyma sfory – pomyślał Jazon – to nic jej nie powstrzyma.

– A teraz, szybko! Wracamy do domu!

Węgier pierwszy ruszył przodem.

Jego farma z trzech stron otaczała otwarty podwórzec. Ze stodoł dochodził słodki zapach siana i domowych zwierząt. Z domu wybiegło kilkoro dzieci i z otwartymi ustami wpatrzyło się w przybysza. Żona farmera zapędziła je z powrotem do domu, wzięła strzelbę męża i stanęła na straży u drzwi, nie zmieniając wyrazu twarzy.

Dom był solidny, obszerny i mógł się podobać, jeśli nie miało się nic przeciwko skomplikowanym, bogatym wzorom obić pokrywających ściany i kolorowym kolumnom. Nad kominkiem, w niszy, widniał ołtarz rodzinny. Chociaż większość mieszkańców Westfalii dawno już zostawiła za sobą wiarę w mity swych przodków, to jednak chłopci w dalszym ciągu zdawali się czcić Troistego Boga OdinaAttileManitou. Farmer podszedł do rodiofonu najnowszej konstrukcji. – Sam nie mam helikoptera – powiedział – ale mogę poprosić o przystanie...

Jazon usiadł i zaczął czekać. Po chwili podeszła do niego młoda dziewczyna i nieśmiało podała mu puchar napełniony piwem i razowiec z kawałkiem sera. – Bądź naszym świętym gościem – powiedziała.

– Oddam za was moją krew – odparł Jazon bez namysłu. Z trudem udało mu się spożyć posiłek nie pożerając go jak zwierzę.

Kończył jeść, kiedy wrócił farmer. – Jeszcze kilka minut – powiedział. – Acha. Jestem Arpad, syn Kolomana.

– Jazon Philippou. – Podanie fałszywego imienia wydało mu się rzeczą niewłaściwą. Ręka farmera, którą uścisnął, była mocna i ciepła.

– Dlaczego doszło do sporu między tobą a starym Ottarem? – zapytał Arpad.

Wciągnięto mnie w zasadzkę – powiedział Jazon z goryczą. Ponieważ zobaczyłem, jak swobodne są ich kobiety...

– Istotnie. To rozpustny pomiot te Danskarki. Są niemal tak samo bezwstydne, jak Tyrkerki, – Arpad zdjął z półki fajkę i woreczek z tytoniem. – Zapalisz?

– Nie, dziękuję. (My w Eutopii nie ponizamy się używaniem narkotyków).

Ujadanie psów przybliżało się, by po chwili przejść w żalosne zawodzenie. Psy zgubiły trop. Odezwał się głos rogów. Arpad nabijał swą fajkę z takim spokojem, jakby znajdował się na przedstawieniu. – Jakże muszą kłać! – wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Przyznać muszę, że Danskarowie to prawdziwi poeci, zwłaszcza jeśli chodzi o przekleństwa. I, oczywiście, dzielni ludzie. Byłem w ich kraju jakieś dziesięć lat temu, kiedy była u nich wielka powódź, a Wojewoda Bela posłał im pomoc. Śmiali się ze strat i zniszczeń. A w czasie dawnych wojen nieźle dali się nam we znaki!

– Myślisz, że dojdzie jeszcze do wojen w Westfalii? – spytał Jazon. Chciał przede wszystkim uniknąć rozmowy na swój temat. Nie wiedział, co jego gospodarz zrobiłby, gdyby dowiedział się o przyczynach, które kazały mu szukać schronienia w Dakocie.

– Nie. Nie w Westfalii. Za dużo tu mamy do zrobienia. Jeśli młodej krwi nie ostudzą pojedynki, to zawsze można zostać najemnikiem u barbarzyńców, którzy prowadzą swe wojny za morzami. Albo polecieć na inne planety. Mój najstarszy chłopak właśnie się wybiera w kosmos.

Jazon przypomniał sobie, że kilka państweczek, położonych bardziej na południe, połączyło swe zasoby i wysiłki i podjęło już pierwsze wyprawy poza Ziemię. Ich technologia osiągnęła ten sam poziom rozwoju, co technologia amerykańska, a ponieważ nie musiały finansować ani wielkiej maszyny obronnej, ani rozbudowanego systemu świadczeń społecznych, przeto udało się im już założyć bazę na Księżycu i wysłać kilka ekspedycji na Aresa. Z czasem – pomyślał – uda się im także to, co Hellenom udało się już przed tysiącem lat: zmienić Afrodytę w Nową Ziemię. Ale czy wtedy będą już mieli prawdziwą cywilizację? Czy będą racjonalnymi ludźmi, żyjącymi w racjonalnie zaplanowanym społeczeństwie? Bardzo w to wątpił.

Arpad wstał, kiedy usłyszeli ryk motoru za oknem. – To twój helikopter – powiedział. – Pośpiesz się. Czerwony Koń zabierze cię do Yarady.

– Danskarowie wkrótce tu będą – odezwał się Jazon z troską w głosie.

– Niech tam! – Arpad wzruszył ramionami. – Zaalarmuję sąsiadów, a Danskarowie nie są tak głupi, żeby nie domyślić się, że to zrobię. Powymyślamy sobie nawzajem – już słyszę ten turniej wyzwisk – a potem każę im wynosić się z mojej ziemi. Żegnaj, gościu!

– Chciałbym... chciałbym móc ci się jakoś odwdziżyć...

– Phi! Nie ma o czym mówić. Miałem trochę zabawy... A poza tym szansę pokazania moim synom, jak postępuje prawdziwy mężczyzna.

Jazon wyszedł na zewnątrz. Helikopter – grawityki tu jeszcze nie znano – pilotował małomówny młody autochton. Przedstawił się jako miejscowy hodowca bydła i dodał, że przewiezienie obcego do stolicy traktował nie tyle jako przysługę dla Arpada, co jako odpowiedź na bezczelność Norlandczyków, którzy wtargnęli na terytorium Dakoty. To było wszystko, co powiedział, i Jazon odetchnął z ulgą, kiedy okazało się, że nie musi podtrzymywać rozmowy.

Maszyna wzbiła się w powietrze. W drodze (lecieli na południe) widział wioski budowane u rozstajnych dróg, tu i ówdzie dwór jakiegoś magnata, przede wszystkim jednak ogromne falujące równiny. Przyrost naturalny w Westfalii był – podobnie jak w Eutopii – ściśle kontrolowany. Tu jednak – myślał Jazon – kontrolowano go nie dlatego, by zapewnić ludziom wystarczającą przestrzeń do życia i czyste powietrze do oddychania. Tu kontrolę narodzin traktowano jako narzędzie ekonomicznej polityki rodzinnej, służyła ona po prostu chciwości. Ojcowie nie chcieli dzielić swej własności między wiele dzieci.

Słońce zaszło i bliski pełni księżyc, wielki, koloru dyni, wspiał się na wschodnią krawędź świata. Jazon usiadł wygodnie, czując w kościach każde drgnięcie maszyny, niemal smakując swe zmęczenie, i objął wzrokiem towarzysza Ziemi. Nic nie wskazywało na to, że znajduje się tam ludzka baza. Zdaży wrócić do domu, zanim w tej historii na Księżycu rozbłyszczą światła miast.

Ale dom znajdował się nieskończenie daleko. Mógłby udać się na najdalszą z tych gwiazd, które zaczęły się teraz zapalać na tle purpurowego brzasku – gdyby można było przekroczyć szybkość światła – i nie znalazłby Eutopii. Dzielily ją od niego całe wymiary i los. Tylko linie sił parachronionu mogły przewieźć go przez rzekę czasu i przywrócić go rodzinnym brzegom.

Dlaczego świat jest taki, jaki jest? Była to pusta spekulacja, ale jego zmęczony umysł znajdował ulgę w roztrząsaniu tego infantylnego pytania. Dlaczego Bóg zechciał, by czas rozgałęział się na wiele odnóg, niby ogromne, cieniste drzewo wszechświatów, Yggdrasill z dankarskich legend? Czy po to, by człowiek mógł urzeczywistnić każdą ze swych potencjalnych możliwości?

Na pewno nie. Przecież tak wiele z nich było możliwościami absolutnie przerażającymi...

Przypuśćmy, że Aleksander Zdobywca nie wyzdrowiał z gorączki, która chwyciła go w Babilonie. Przypuśćmy, że – inaczej niż w naszym świecie, gdzie jakby przez nią oczyszczony, resztę swego długiego życia poświęcił umacnianiu fundamentów swego imperium – przypuśćmy, że umarł.

Ale tak rzeczywiście się zdarzyło i to nie w jednej historii. Potem imperium rozpadło się wskutek wojen o sukcesję. Rozwój Hellady i Orientu poszedł różnymi drogami. Rodząca się nauka zdegenerowała się w metafizykę, a w końcu nawet w mistycyzm. Osłabiony świat Śródziemnomorza opanowali stopniowo Rzymianie: chłodny, okrutny i nietwórczy lud, roszczący sobie pretensję do dziedzictwa po Helladzie nawet wtedy, kiedy niszczył Korynt. Potem pewien heretycki prorok żydowski założył misteryjny kult i znalazł zwolenników w całym ówczesnym świecie, bo rozpacz przenikała życie ludzkie. Był to kult, który nie znał słowa „tolerancja”. Jego kapłani negowali wszystkie z przelicznych dróg, na których można dojść do Boga; wszystkie – z wyjątkiem własnej. Wycinali święte gaje, usuwali z domów ich skromne bóstwa i mordowali ostatnich ludzi o wolnych umysłach.



– O tak – myślał Jazon – z czasem utracili wpływy i znaczenie. Dzięki temu mogła powstać nauka – prawie dwa tysiące lat później niż u nas. Ale ich trucizna pozostała: przekonanie, że człowiek musi przystosować się nie tylko do panujących form zachowania, ale także do panujących wierzeń i przekonań. W Ameryce nazywają to totalitaryzmem, i dlatego właśnie doszło do ohydnych wylęgów: do powstania broni atomowej.

Nienawidzę tamtej historii – jej brudu, jej marnotrawstwa, Jej brzydoty, jej ograniczeń, jej hipokryzji, jej obłądu. Nigdy nie będę miał do czynienia z trudniejszym zadaniem, niż miałem wtedy, kiedy musiałem udawać Amerykanina, by zobaczyć niejako od wewnątrz, co ci ludzie sami myślą o sobie. Ale dziś... Żal mi cię, biedny, zgwałcony świecie, i nie wiem, czy życzyć ci, byś jak najszybciej unicestwił sam siebie, czy też mieć nadzieję, że kiedyś twoi następcy wywalczą sobie to, co my osiągnęliśmy przed wiekami.

Ten świat miał więcej szczęścia, muszę to przyznać. Chrześcijaństwo znalazło swój kres pod naporem Arabów, wikingów i Węgrów. Później Imperium Muzułmańskie rozpadło się wskutek wojen domowych i europejscy barbarzyńcy znaleźli świat otwartym. Kiedy tysiąc lat temu przekroczyli Atlantyk, nie mieli dość siły, by dopuścić się ludobójstwa na tubylcach, toteż musieli się z nimi jakoś porozumieć. Nie mieli wtedy przemysłu, nie mogli więc zniszczyć całej hemisfery. Dlatego też z konieczności wrastali w ten kraj powoli, biorąc go w posiadanie tak, jak mężczyzna bierze swą ukochaną.

Ale te ogromne ciemne lasy, ponure równiny, nie zaludnione pustynie i góry, z biegającymi po nich kozicami... Atmosfera tego kraju przeniknęła w ich duszę. Toteż w swoich sercach zawsze będą dzikusami.

Westchnął, usadowił się wygodniej i zmusił się do zaśnięcia, każdy z jego snów miał no imię Niki.

Gdzie wodospad zaznaczył kres nawigacji na tej wielkiej rzece znanej już to jako Zeus, już to jako Missisipi, już to jako Długa Rzeka, lud zasadniczo rolniczy, który nie rozwinął transportu powietrznego w takim stopniu, jak stało się to w Eutopii, musiał zbudować miasto. Handel i aktywność militarna pociągnęły za sobą powstanie określonego systemu politycznego, sztuki, nauki, pedagogiki. Varady liczyło około stu tysięcy mieszkańców – w Westfalii nie przeprowadzano spisów ludności – których domy o oknach wychodzących jedynie na wewnętrzne podwórca otaczały wieże zamku Wojewody.

Zaraz po obudzeniu Jazon wyszedł na balkon, skąd przysłuchiwał się dalekim odgłosom ruchu ulicznego. Baniaste dachy domów przypominały bunkry obronnych fortów. Pytanie – pomyślał – czy pokój oparty na równowadze sił między tymi państewkami może się utrzymać?

Ale poranek, był zbyt orzeźwiający i słoneczny, by oddawać się takim rozmyśleniom. Był tu już bezpieczny; umył się i wypoczął. Niewiele z nim rozmawiano po przybyciu. Widząc stan, w jakim znajdował się uciekinier, który prosił go o azyl, syn Beli Zsolta kazał dać mu posiłek

i posłał go do łóżka.

Niedługo będziemy rozmawiać – myślał Jazon – i wtedy będę musiał zachować najwyższą ostrożność, jeśli chcę żyć. Ale czuł się już tak silny i zdrowy, że nie musiał nawet tłumić niepokoju.

Za jego plecami rozległ się dzwonek. Jazon wrócił do pokoju; było to pomieszczenie duże i zaopatrzone w dobrą wentylację, ale ozdobne ponad wszelką przesadę. Przypomniał sobie, że miejscowy obyczaj potępiał nagość, toteż narzucił szatę, lekko wzdrygając się na widok pokrywających ją wzorów. – Proszę wejść – zawołał po węgiersku.

Drzwi otworzyły się i do pokoju weszła młoda kobieta pchając przed sobą wózek ze śniadaniem. – Życzę ci dobrego dnia, gościu – powiedziała z obcym akcentem. Była Tyrkerką i nawet ubrana była w tyrkerski narodowy strój obszyty paciorkami i licznymi frędzelkami. – Czy dobrze spałeś?

– Jak Kojot po zabawie – odparł śmiejąc się.

Uśmiechnęła się, widocznie zadowolona z aluzji, i zaczęła zastawiać stół. Razem usiedli do jedzenia, goście bowiem nie jadali samotnie. Dziczyzna wydała mu się dość ciężką potrawą jak na tak wczesną porę dnia, ale kawa była niezwykle smaczna, a dziewczyna była czarującą towarzyszką. Pracowała tu jako pokojówka i część zarobionych pieniędzy odkładała na posag, jaki miała wnieść swemu przyszłemu mężowi w kraju Czerokezów.

– Czy Wojewoda zechce mnie przyjąć? – zapytał Jazon, kiedy śniadanie zbliżało się już do końca.

– Oczekuje cię i nie wątpi, że rozmowa z tobą sprawi mu przyjemność. Zatrzepotała rzęsami. – Ale nie ma pośpiechu... Zaczęła odpinać pasek u sukni.

Tak hojna gościnność musiała być skutkiem zdominowania surowych obyczajów węgierskich przez swobodne obyczaje danskarskie i jeszcze swobodniejsze – tyrkerskie. Jazon miał przez chwilę wrażenie, że znalazł się w swej ojczyźnie, w świecie, gdzie ludzie szukali rozkoszy w sobie jak uznawali za stosowne. Milcząca propozycja była także pokusą.: Tyrkerka miała szerokie, gładkie brwi jak Niki... Wysiłkiem woli odrzucił jednak pokusę. Miał niewiele czasu. Był w pułapce, jeżeli nie uda mu się ustalić swej pozycji, zanim Ottar pomyśli o zawiadomieniu Beli.

Pochylił się nad stołem i pocieszająco pogładził małą dłoń dziewczyny. – Dziękuję ci, miła – powiedział – ale złożyłem komuś ślubowanie.

Jego reakcję przyjęła równie naturalnie, jak wystąpiła ze swą propozycją. Ten świat mimo, że miał sposoby, by się zjednoczyć, wolał pozostać mozaiką różnych kultur. Poczucie obcości wróciło doń na chwilę, kiedy spoglądał za dziewczyną opuszczającą pokój. Ujrzał bowiem jedynie błysk swobody. Życie w Westfalii pozostawało labiryntem tradycji, obyczajów, praw i przelicznych tabu.

Co też niemal przyplaciłem życiem, pomyślał, i jeszcze mogę przepłacić. Pospieszmy się więc.

Narzucił na siebie strój, który dlań przygotowano, i wybiegł z pokoju. Zszedłszy schodami w dół, znalazł się w długim kamiennym hallu. Tu jakiś sługa pałacowy skierował go do pomieszczeń zajmowanych przez Wojewodę. Przed drzwiami kilkoro ludzi czekało ze swymi skargami i sprawami, które chcieli poddać pod sąd władcy. Jednakże kiedy tylko Jazon kazał zaanonsować swą obecność, natychmiast został wpuszczony poza kolejnością.

Pokój, do którego wszedł, należał niewątpliwie do najstarszej części pałacu. Popękane od starości drewniane kolumny, pokryte groteskowymi rzeźbami bogów i herosów, podtrzymywały niski dach. Z paleniska na podłodze unosił się dym ku otworowi w dachu; niestety, jego część pozostawała w pomieszczeniu, toteż Jazon szybko poczuł palenie w oczach. Z łatwością mogli dać swemu władcy jakieś nowoczesne pomieszczenie – pomyślał – ale oczywiście nie mogli tego zrobić, bo skoro jego przodkowie urzędowali właśnie w tej budzie, to i on musiał robić to samo...

Światło przenikające przez wąskie okna oświetlało pomarszczoną twarz Beli i rozplątało się w cieniu. Wojewoda był przysadzistym i siwowłosym starcem. Rysy jego twarzy zdradzały poważną przymieszkę chromosomów tyrkeryjskich. Zasiadał na drewnianym tronie, owinięty kocem, z głową przyozdobioną rogami i piórami. W lewym ręku dzierżył berło ozdobione końskim ogonem, a na jego kolanach leżała obnażona szabla.

– Witaj, Jazonie Philippou – powiedział z powagą. Ręka wskazał Jazonowi krzesło. – Siądź, proszę.

– Dzięki ci, mój panie. Eutopiańczyk z trudem zmusił się do wypowiedzenia poniżającego tytułu. W jego historii nie tytułowano nikogo.

– Czy gotów jesteś mówić prawdę?

– Tak.

– Dobrze. – Wojewoda nagle porzucił oficjalną pozę, założył nogę na nogę i spod okrywającego go koca wyciągnął cygaro. – Palisz? Nie? No, ale ja zapalę. – Uśmiech przemknął przez jego pomarszczoną twarz. – Jesteś cudzoziemcem, nie muszę więc ciągnąć dalej tej cholernej ceremonii.

Jazon zaryzykował ten sam ton. – Będzie to ulgą i dla mnie. Nie wiele mamy ceremonii w Republice Peloponezu.

– To twoja ojczyzna, co? Słyszę, że nie najlepiej wam się wiedzie.

– W istocie. Moja ojczyzna podupada. Wiemy, że przyszłość należy do Westfalii, toteż tu kierujemy nasz wzrok.

– Powiedziałeś wczoraj, że przybyłeś do Norlandii jako kupiec.

– Tak. Przybyłem, by zawrzeć umowę handlową. – Jazon starał się nie kłamać – o ile było

to w ogóle możliwe. Nie można innym historiom zdradzić faktu, że Hellenowie wynaleźli parachronion. Nie tylko zmieniłoby to układy historyczne, które były przedmiotem badań; co więcej, dać poznać ludziom, że inni ludzie osiągnęli stan doskonałości, byłoby zbyt wielkim okrucieństwem. – Mój kraj dokonuje wielkich zakupów drewna i futer.

– Acha. Tak więc Ottar zaprosił cię do siebie. To rozumiem. Nieczęsto widzimy ludzi ze Starej Ojczyzny. Ale pewnego dnia zapragnął twojej krwi. Dlaczego?

Jazon mógł uniknąć konieczności odpowiedzi zasłaniając się przysługującym mu prawem do zachowania w tajemnicy spraw prywatnych. Ale taka skrytość zrobiłaby złe wrażenie. A kłamstwo było niebezpieczne: przed tronem Wojewody trzeba było zeznawać pod przysięgą. – Niewątpliwie, w pewnym stopniu była to moja wina – powiedział. – Ktoś z rodziny Ottara – osoba niemal dorosła zresztą – przywiązała się do mnie i... No, moja żona została na Peloponezie... A poza tym wszyscy mnie zapewniali, że przedmażeńskie stosunki w, Danskarze są bardzo swobodne, no i tak. Nie chciałem nikogo skrzywdzić! Okazałem tej osobie trochę więcej serdeczności. W końcu Ottar dowiedział się o tym i wyzwiał mnie na pojedynek.

– Dlaczego nie przyjąłeś wezwania?

Nie miało sensu tłumaczyć mu, że człowiek cywilizowany unika środków gwałtownych, jeśli ma do dyspozycji inne możliwości. – Pomyśl, mój panie – powiedział Jazon. – Gdybym przegrał, zginąłbym. Gdybym wygrał, oznaczałoby to kres naszego handlu z Norlandią. Synowie Ottara nigdy nie przyjęliby okupu, prawda? W najlepszym dla nas razie wygnaliby nas z kraju. A Peloponez potrzebuje drewna. Doszedłem więc do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli ucieknę. A później moi wspólnicy wyparliby się mnie przed całą Norlandią.

– Hm... Dziwne to rozumowanie. W każdym razie jesteś człowiekiem lojalnym. Ale czego życzysz sobie ode mnie?

– Jedyne, o co proszę, to umożliwienie mi bezpiecznego dotarcia do Steinvik. (Niewiele brakowało, by użył nazwy „Neathenai”). Musiał pohamować swój zapał. – Mamy tam naszego agenta i statek.

Bela wypuścił kłęb dymu i z ponurą miną przyjrzał się żarzącemu się czubkowi cygara. – Chciałbym wiedzieć, dlaczego Ottar wpadł w taki gniew. To niepodobne do niego. Ale z drugiej strony, jeśli w grę wchodziła jego córka, nie mógł być wyrozumiały... Pochylił się ku Jazonowi. – Dla mnie – powiedział opryskliwie – najważniejsze jest to, że uzbrojeni Norlandczycy przekroczyli granicę mojego państwa, nie pytając mnie o zgodę.

– Było to poważne pogwałcenie twoich praw. Wojewodo. To prawda.

Bela zaklął jak stary kawalerzysta. – Nie rozumiesz mnie! Granice nie są święte dlatego, że chce tego Attila, jeśli nawet szamani wygadują takie głupstwa. Są święte dlatego, że tylko dzięki nim można utrzymać pokój. Jeśli nie wyrażę oficjalnie mojego oburzenia z tego powodu i nie ukarzę Ottara, to któregoś dnia jakiś awanturnik powtórzy próbę Ottara. A dziś każdy ma broń

jądrową!

– Ależ ja nie chcę, żeby z mojego powodu doszło do wojny! – zawołał Jazon z przerażeniem. – To już raczej odeślij mnie do Normandii!

– Nie gadaj głupstw. Ottara ukarzę właśnie w ten sposób, że nie pozwolę mu zemścić się na tobie, niezależnie od tego, czy racja jest po jego stronie, i będzie musiał to przełknąć.

Bela wstał. Odłożył cygaro na popielniczkę, podniósł szablę – i od razu uległ kompletnej przemianie. Zdawało się, że to nie człowiek przemawia, lecz jakiś pogański bóg: – Od tej chwili, Jazonie Philippou, nikt w Dakocie nie śmie cię tknąć. Pozostajesz pod osłoną naszej tarczy, toteż zło tobie wyrządzone będzie złem wyrządzonym także mnie, mojemu domowi i mojemu ludowi. Przysięgam na Trójcę!

Jazon stracił panowanie nad sobą. Runął na kolana i wśród szlochu wyjękiwał słowa podziękowań.

– Przestań! – mruknął Bela. – Lepiej będzie, jeśli możliwie najszybciej zajmiemy się przygotowaniem do twojej dalszej drogi. Polecisz samolotami z wojskową eskortą. Ale oczywiście najpierw muszę uzyskać pozwolenie od władz krajów, nad którymi będziesz przelatywał. To mi zajmie trochę czasu. Teraz wracaj do siebie, odpocznij, o ja wezwę cię, kiedy wszystko będzie gotowe.

Jazon wyszedł, nagle jeszcze czując drżenie.

Spędził kilka przyjemnych godzin wałęsając się po zamku i jego podwórcach. Młodzieńcy z orszaku Beli zrobili wszystko, by zaimponować człowiekowi ze Starej Ojczyzny. Nie mógł nie podziwiać ich malowniczych popisów w jeździe konnej, strzelaniu i zawodach w rozwiązywaniu zagadek. Niejasne uczucia wzbudziły w nim opowieści o wyprawach poprzez ogromne równiny, w głąb kniei i poprzez wezbrane rzeki aż ku murom bajecznej metropolii – Unnborgu. Pieśń barda przenosiła słuchaczy w czasy dawniejsze niż historia, w czasy mięsożernych małą – przodków człowieka.

Ale właśnie od tych wspaniałych pokus odwróciliśmy się w Eutopii. Bo my wyrzekliśmy się naszego zwierzęcego pochodzenia. My jesteśmy ludźmi obdarzonymi rozumem. I w tym tkwi istota naszego człowieczeństwa.

Wracam do ojczyzny. Wracam do domu. Wracam do domu.

W tej chwili jakiś sługa dotknął jego ramienia. – Wojewoda chce cię widzieć. – W jego głosie czuło się lęk.

Jazon zadrżał. Co się mogło stać? Tym razem nie zaprowadzono go do sali tronowej. Bela oczekiwał go na parapecie murów zamku. Za nim stało na baczność dwóch rycerzy, ich pozbawione wyrazu twarze kryły się w cieniu hełmów ozdobionych pióropuszcami.

Spojrzenie, jakim obrzucił go Bela, nie wróżyło nic dobrego. Wojewoda splunął Jazonowi pod nogi. – Ottar telefonował do mnie – odezwał się.

- Ja... Czy powiedział...
- A ja sądziłem, że chciałeś tylko przespać się z dziewczyną. Ty zaś niemal zniszczyłeś dom, który obdarzył cię przyjaźnią!
- Panie!
- Możesz się nie bać. Wyłudziłeś ode mnie przysięgę na Trójcę... Minie wiele lat, zanim uda mi się wynagrodzić Ottarowi szkodę, jaką mu wyrządziłem.
- Ale. Spokój! Spokój! Mogłeś się przecież tego spodziewać.
- Nie polecisz samolotem wojskowym. Ale będziesz miał eskortę. Maszynę, która cię zabierze, trzeba będzie potem spalić. Teraz masz poczekać tam, przy stajniach, koło tej kupy gnoju, aż będziemy gotowi.
- Nie chciałem nikomu zaszkodzić – zawołał Jazon. – Nie wiedziałem o tym, że...
- Zabierzcie go stąd, bo go zabiję – rozkazał Bela.

Steinvik był starym miastem. Te wąskie brukowane uliczki, te ponure domy widziały jeszcze statki ozdobione wizerunkami smoków. A od Atlantyku wiał ten sam wiatr, słony i świeży, i on to przegnał z duszy Jazona pozostałe w niej jeszcze resztki rozgoryczenia, które dręczyło go do tej pory. Gwiżdżąc przepychał się przez tłum przechodniów.

Mieszkaniec Westfalii czy Ameryki załamałby się po tych wszystkich doświadczeniach i niepowodzeniach. Czyż bowiem on, Jazon, nie poniósł całkowitej klęski? Czy nie należało go zastąpić kimś, kto – przynajmniej oficjalnie – nie miałby nic wspólnego z Helladą? Ale w Eutopii dobrze zdawano sobie sprawę z przyczyn jego niepowodzenia: popełnił błąd, ale nie było w tym jego winy. Błędu tego bowiem nie popełniłby, gdyby lepiej go poinstruowano. Oczywiście – uczyliśmy się na błędach.

Wspomnienie o ludziach z Ernvik i Varady – porywczym, hojnym ludziach, których przyjaźń pragnąłby zachować – dręczyło go jeszcze przez chwilę. Ale szybko wymazał je z pamięci. Były przecież jeszcze inne światy, nieskończony ich ogrom.

Szyld zatrzeszczał pod uderzeniem wiatru. Bracia Hunyadi i Ivar. Armatorzy. Był to dobry kamuflaż w mieście, gdzie co druga firma miała coś wspólnego z morzem. Wbiegł po schodach na drugie piętro.

Rozpostarł dłoń przed mapą morską umieszczoną na ścianie. Ukryty aparat zidentyfikował indywidualny wzór jego linii daktyloskopijnych i drzwi, przed którymi stał, rozsunęły się. Pokój, w którym się znalazł, był wykładany boazerią utrzymaną w stylu panującym w Steinvik. Ale jego proporceje nasuwały myśl o Eutopii; a na półce rozpościerała swe skrzydła Nike.

Nike... Niki... Wracam już do ciebie! Serce zabiło mu żywiej.

Dajmonax Aristides podniósł wzrok z nad swego biurka. Jazon niekiedy zadawał sobie pytanie, czy cokolwiek w świecie byłoby w stanie wstrząsnąć tym człowiekiem. – Chajre! –

usłyszał głęboki, bas Dajmonaxa. – Raduj się! Cóż cię tu sprowadza?

– Przykro mi, ale przynoszę złe wieści.

– No? Ale po tobie nie widać, żeby sprawa przedstawiała się aż tak katastrofalnie! Dajmonax uniósł się z krzesła, podszedł do szafy z winem, napełnił parę delikatnych i pięknych pucharów, po czym spoczął na łożu. – No, teraz opowiadaj. – Jazon wyciągnął się na drugim łożu. – Nieświadomie pogwałciłem coś, co – jak się zdaje – jest tu tabu o pierwszorzędnym znaczeniu. Mogę się uważać za szczęśliwca, że udało mi się ująć z życiem.

– No, no... – Dajmonax pogładził swą siwiejącą już brodę. – To nie pierwszy taki wypadek – i nie ostatni. Zmierzamy po omacku do wiedzy, ale rzeczywistość zawsze nas zaskakuje... W każdym razie gratuluję ci tego, że uratowałeś własną skórę. Z prawdziwą przykrością opłakiwałbym twoją śmierć.

Uroczyście uleli po kilka kropel ze swych kielichów – jako libację bogom – zanim przystąpili do picia. Człowiek racjonalny potrafi uznać potrzebę ceremonii, a dlaczego nie wziąć jej ze – zdezaktualizowanej zresztą – sfery mitu? (Podłoga była uodporniona na plamy).

– Możesz już złożyć raport?

– Tak. Idąc tu u porządkowałem sobie wszystko w pamięci.

Dajmonax uruchomił aparat rejestrujący, wypowiedział kilka katalogujących formuł i powiedział: – Zaczynaj.

Jazon mógł sobie pochlebić, że jego relacja była dobrze przygotowana: była przejrzysta, szczerza i wyczerpująca. Ale kiedy mówił, jego pamięć mimo woli powracała do minionych doświadczeń, a była to przede wszystkim pamięć doznanych wrażeń, uczuć, przeżyć... Znów widział migotanie fal na największym z jezior Pentalimny; przechadzał się po krużgankach zamku w Ernvik z pełnym ciekawości i podziwu młodym Leifem; widział, jak Ottar zamienia się w zwierzę; uciekał z więzienia, ogłuszywszy strażnika, i drżącymi palcami uruchamiał wóz; mknął pustą drogą, a potem przedzierał się przez las goniąc resztkami sił; widział, jak Bela spluwa mu pod nogi, i radość, jaką czuł na myśl o wolności, zmieniała się w gorycz. Wreszcie nie mógł się powstrzymać.

– Czemuż mnie nie poinformowano? Byłbym zachował ostrożność! Ale powiedzieli mi, że będę miał do czynienia z ludźmi pozbawionymi przesądów i zdrowymi – w każdym razie przed małżeństwem... Skąd miałem wiedzieć?

– Tak, to było przeoczenie – zgodził się Dajmonax. – Ale zbyt krótko zajmujemy się parachronią, toteż ciągle jeszcze dużo rzeczy bierzemy za oczywiste.

– Po co w ogóle tu jesteśmy? Czego możemy się nauczyć od tych barbarzyńców? Mamy do zbadania nieskończoną ilość światów, to dlaczego marnujemy czas zajmując się akurat tym światem? Jednym z dwóch najbardziej upiornych, spośród tych, jakie znamy...

Dajmonax wyłączył aparat rejestrujący. Przez dłuższą chwilę obaj mężczyźni milczeli.

Z zewnątrz dobiegało dudnienie kół przejeżdżających wozów, czyjś śmiech mieszał się z melodią śpiewanej piosenki. Za oknem rozciągał się ocean rozjarzony w świetle słońca.

– Nie wiesz tego? – odezwał się w końcu Dajmonax. Głos miał ściszony.

– No tak... Zainteresowania naukowe, oczywiście... – Jazon przetknął ślinę. – Przepraszam. Naturalnie, działalność Instytutu opiera się na sensownych podstawach. W historii amerykańskiej obserwujemy błędną drogę rozwoju człowieka. Przypuszczam, że w tej także.

Dajmonax potrząsnął głową. – Nie. Nie o to chodzi.

– To o co?

– Uczymy się tu czegoś zbyt cennego, by z tego zrezygnować – odparł Dajmonax. – Jest to lekcja upokarzająca, ale trochę pokory zrobi dobrze naszej zadowolonej z siebie Eutopii. Nie wiedziałeś o tym, bo dotychczas nie mieliśmy do dyspozycji dostatecznej ilości faktów, by móc opublikować nasze konkluzje. Poza tym pracujesz w tym zawodzie od niedawna, a pierwszą misję odbywałeś w innej historii. Ale widzisz, mamy najlepsze racje, by sądzić, że Westfalia jest także rodzajem Eutopii – Dobrej Krainy.

– To niemożliwe – wyszeptał Jazon. Dajmonax uśmiechnął się i pociągnął łyk wina. – Pomyśl tylko – rzekł. – Czego potrzeba człowiekowi? Przede wszystkim musi zaspokoić swe potrzeby biologiczne; musi mieć pożywienie, dach nad głową, musi mieć jakieś leki, życie seksualne, a wreszcie żyć w środowisku dość bezpiecznym, by móc wychować swe dzieci. Po drugie, szczególnie ludzką potrzebę stanowi dążenie do czegoś, chęć uczenia się i tworzenia. No, nie powiesz mi, że w tej historii ludzie nie zaspokajają tych wszystkich potrzeb?

– To samo można by powiedzieć o każdym plemienu z epoki kamiennej. Nie możesz stawiać znaku równości między zadowoleniem a szczęściem.

– Oczywiście, że nie. A jeśli jakiś świat nie jest uporządkowaną, zunifikowaną Eutopią, krainą łagodnych krów, w której wszystko jest zaplanowane? Rozwiązaliśmy wszelkie konflikty, nawet te, które rozdzierały ludzką duszę; opanowaliśmy cały system słoneczny, choć gwiazdy okazały się nam niedostępne; gdyby więc dobry Bóg nie pozwolił nam wymyślić parachronionu, to cóż by nam zostało do roboty?

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że... – Jazonowi zabrakło słów. Uprzytomnił sobie, że tylko człowiek chory umysłowo obraża się, kiedy słyszy coś, co przeczy jego ulubionym poglądom. – A więc człowiek uwolniony od agresji, klanowości, przesądów, rytuału i tabu – nie ma już nic?

– Mniej więcej. Społeczeństwo musi mieć swą strukturę i sens. Ale natura nie dyktuje mu ani jego struktury, ani sensu. Nasz racjonalizm jest wyborem nieracjonalnym. To, że spętujemy zwierzęcość, która w nas żyje, jest po prostu jeszcze jednym tabu. Wolno nam kochać innych według naszego upodobania, ale nie wolno nam nienawidzić. Czyż mamy więc większą swobodę niż mieszkańcy Westfalii?



– Ale przecież są kultury lepsze od innych!

– Nie przeczę – powiedział Dajmonax. – Zwracam ci tylko uwagę na to, że każda kultura za swe istnienie płaci pewną cenę. Drogo płacimy za to wszystko, czym cieszymy się u nas w Eutopii. Nie pozwalamy sobie nawet na jeden bezmyślny, czysto emocjonalny impuls. Likwidując wszelkie niebezpieczeństwa i trudności, eliminując różnice między ludźmi, nie zostawiamy sobie żadnych nadziei na zwycięstwo. A – być może – najgorsze jest to; że staliśmy się wyłącznie jednostkami. Nie mamy poczucia przynależności. Nasze jedyne zobowiązanie ma charakter negatywny: jesteśmy zobowiązani nie zmuszać do niczego żadnej innej jednostki. Państwo – doskonale zorganizowany, pozbawiony twarzy i niewymagający mechanizm – troszczy się o zaspokojenie każdej naszej potrzeby i naprawienie każdej przykrości, która nas spotyka. A gdzież jest lojalność wobec śmierci? Gdzie jest intymność, jaka można znaleźć tylko w całym przeżytym z kimś życiu? Bawimy się w czasie różnych uroczystości i ceremonii, ale ponieważ wiemy, że sprowadzają się do arbitralnych gestów, przeto pytam: jakaż jest ich wartość? Ponieważ ujednoliliśmy nasz świat, przeto zagubiliśmy jego barwę i kontrasty, utraciliśmy dumę z naszej odrębności...

Natomiast mieszkańcy Westfalii – mimo wszystkie ich wady – wiedzą, kim są, jacy są, do czego należą i co należy do nich. Swej tradycji nie zagrzebali w księgach; jest ona dalej częścią ich życia. Toteż ich zmarli pozostają z nimi dalej w ich pamięci. Mają realne problemy, toteż mają także realne sukcesy. Wierzą w swe rytuały. Wierzą, że warto żyć i umierać dla rodziny, króla, narodu. Być może – choć nie jestem tego zupełnie pewien – myślą mniej od nas, ale za to w większym stopniu używają swych nerwów, gruczołów i mięśni. Toteż znają dobrze ten aspekt człowieczeństwa, którego wyrzekł się nasz ostrożny świat.

Jeśli potrafili pozostać takimi, tworząc jednocześnie naukę, technikę, to czyż nie powinniśmy nauczyć się tego od nich?

Jazon milczał. Nie potrafił na to odpowiedzieć.

W końcu Dajmonax przerwał milczenie. – Możesz teraz powrócić do Eutopii. A kiedy odpoczniesz, otrzymasz nową misję w jakiejś historii, która będzie ci bardziej odpowiadać. – Rozstańmy się jak przyjaciele.

Zaszumiał parachronion. Tętno czasu biło między wszechświatami... Drzwi pomieszczenia otwarły się i Jazon wyszedł na zewnątrz.

Wszedł w las błyszczących kolumn. Białe Neathenai, wdzięczne, pogodne miasto, schodziło tarasami ku morzu. Człowiekiem, który wyszedł mu naprzeciw, był filozof.

Czekała nań już porządna tunika i sandały. Dobiegał skądś dźwięk liry.

Radość trzepotała w Jazonie. Nie pamiętał już o Leifie. Była to pokusa, która mogła powstać tylko na skutek samotności i tęsknoty... Teraz był już w domu. A tu czekał na niego Niki, Nikiasz Demostheneou, najpiękniejszy i najbardziej czarujący z chłopców.